

# Włodzimierz Bolecki

---

## Wyznania członka lokalnej wspólnoty interpretacyjnej

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (54), 171-186

---

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Polemiki

## Wyznania członka lokalnej wspólnoty interpretacyjnej

### I

Szanowny Panie Redaktorze,

w Pańskim poczytnym piśmie numer 6 (48) z 1997 r. pod pseudonimem Andrzej Szahaj był Pan łaskaw opublikować w szesnastu częściach instrukcję użycia pinu („O pinie” nr 6, s. 5) pt. *Jakaś Prawda, Rzeczywistość czy Obiektywność* (nr 6, s. 33). Z kolei w numerze czwartym z 1998 r. Pańskiego poczytnego pisma opublikował Pan jej uzupełnienie pt. „Pininterpretacjonizm”, co zostało spowodowane wielkim powodzeniem tej instrukcji wśród użytkowników pinów. Jako członek wspólnoty „euro-amerykańskiej” (nr 4, s. 77), którą Pan kilkakrotnie wspomina, „spieszę dopowiedzieć” (nr 4, s. 79), że osobiście bardzo często posługuję się pinem i dlatego jestem Panu głęboko wdzięczny za poświęcenie tak wielu stron Pańskiego poczytnego pisma temu doniosłemu problemowi oraz kłopotom, na jakie w „granicach pluralizmu kulturowego” narażeni są użytkownicy pinu z powodu „i-

diosynkretyzacji kultury zachodniej” (nr 6, s. 24; nr 4, s. 76), która – jak Pan „po mistrzowsku” słusznie podkreśla – jest „nasza”.

Dziękuję Panu także za trafne i niezwykle cenne uwagi o Życiu oraz za to, że bardzo słusznie wprowadził Pan do swojej instrukcji „współczynnik humanistyczny”.

W pierwszym punkcie Pańskiej instrukcji użycia pinu trafnie Pan przypomina o istnieniu „obiektywności względnej i lokalnej” (nr 6, s. 19). W tym temacie, na ten przykład, mój pin jest jeden, więc jest, proszę Pana, subiektywny, ale ponieważ jest tylko Jeden i tylko mój, zatem jest on nie tylko Obiektywnie subiektywny, lecz jest także Subiektywnie obiektywny, i żadna wspólnota nic tu nie zmieni – dlatego, jak Pan słusznie stwierdza, moim zdaniem trafnie, „poprzez swój zasięg może sprawiać wrażenie czegoś powszechnego” (nr 6, s. 17).

Ale ponieważ ten pin jest tylko Mój i był on autoryzowany tylko w jednym lokalu banku Powszechnego, więc jest to pin Względny i Lokalny, choć zarazem będąc subiektywnie pinem tylko względem mnie, to przecież, Obiektywnie rzecz biorąc, może być on używany w bankomatach powszechnie dostępnych. Ale, niestety, nie w Obiektywnie Wszystkich bankomatach, tylko w tych wszystkich, które subiektywnie współpracują z naszą lokalnie powszechną wspólnotą bankową. Można to trafnie zinterpretować, że w obiektywnie Lokalnej i Subiektywnie powszechnej sieci Bankomatów obiektywnie subiektywny i lokalnie względny mój pin jest subiektywnie Używany jako pin Bezwzględnie obiektywny. Przez pisanie dużą literą pragnę tu, Panie Redaktorze, subiektywnie podkreślić obiektywny moment Bezwzględności względnego i Ponadlokalności lokalnego, czyli obiektywnie podkreślam subiektywną różnicę pomiędzy fundamentalnym absolutyzmem mojego pinu a absolutnym, antyfundamentalistycznym relacjonizmem banków i bankomatów (nr 6, s. 19). „Domyślam się stronniczo” (nr 4, s. 84), że to Pan słusznie miał na myśli, prawda?

Bezwzględnie trafnie podkreśla Pan także, że lokalność pluralistyczna jest lepsza niż jeden lokal dla wszystkich. Kiedyś, proszę Pana, pamiętam, jakby to było wczoraj, stałem w takim jednym lokalu, to, proszę Pana, nie było w nim nawet widać końca „horyzontu oczekiwań”, który Pan trafnie dziś zauważył.

Bezwzględnie się też z Panem zgadzam, gdy Pan odnosi umarłych do naszej pamięci, ale tu trzeba pamiętać, że pamięć każdego z nas jest bezwzględnie względna. Na przykład moja babcia nigdy by Panu nie

darowała, że ona niby nie pamięta, że „stół ma nogi” (nr 6, s. 16)! Bo, proszę Pana, ile razy ona wstawiała od tego stołu, co go jeszcze pradziadek w stołowym ustawił, to zawsze, proszę Pana, łup nogą o nogę! No i tak na te kulasy pomstowała, że dziadek nie zdierzył, łaps za piłę, proszę Pana, i trzy nogi piłę uciachał, i teraz kaździutki stół w babcinym mieszkaniu tylko z jedną nogą stoi „i już”! Więc to nie jest tak jak Pan, z całym *szaconkiem*, uważa, że „stół przecież ma nogi i już” (nr 6, s. 16). Pan to ujmuje zbyt fundamentalnie, *co się może skończyć źle*, bo jak stół ma jedną nogę, to niby nie jest już stołem? Albo, proszę Pana, weźmy na ten przykład Pana, bo przecież Pan – tak jak każdy – ma nogi, „i już”, prawda, i to jest Prawda, nieprawda, to jest Rzeczywistość, to jest, proszę Pana, Obiektywność (nr 6, s. 33), i tu się każdy musi zgodzić, ale czy z tego, że Pan „ma nogi i już” bezwzględnie wynika, że Pan jest stołem?

Dlatego ja, nie wchodząc w szczegóły, też powiem od siebie, że w tej perspektywie „każda forma jest czymś kreowanym, a nie odkrywanym”. To jest myśl nowa i głęboko pomyślana i to nie jest żaden k a n t, proszę Pana, bo ten stół babciny był przecież okrągły, a że dziadek był człowiekiem kulturalnym, to chociaż subiektywnie z tymi nogami nie zdierzył, to jednak obiektywnie nigdy by sobie, proszę Pana, na żadne odkrywanie niezdzierzenia publicznie nie pozwolił. Miał formę wykreowaną i już.

W dalszej kolejności omawia Pan „kłopoty jako punkt wyjścia do naświetlenia” (nr 6, s. 7). Więc co ja na to? Pan się na pewno, Panie Redaktorze, lepiej orientuje w tej technologii pinowej niż ja, chociaż ona stara, ale ja osobiście z Pana też nie mogę się zgodzić choćby z tego względu, że zgodnie z moim „doświadczeniem kulturowym”, ograniczonym, co prawda, „do miejsca i czasu”, co przyznaję, to dopiero naświetlenie pinu jest punktem wyjścia dla kłopotów.

Bo, Panie Redaktorze, to jest tak: gdy nie ma naświetlenia, to nie ma karty – czyli tekstu – jak mówimy w naszej wspólnotce. A gdy nie ma karty, to rzecz jasna, Panie Redaktorze, nie ma też pinu. A gdy nie ma pinu, to oczywiście nie ma kłopotów. Z kolei, gdy jest pin, to – jak Pan słusznie pisze – „musimy zmienić status roszczeń, jakie się z nim wiążą” (nr 4, s. 88). I to jest trafne, to jest obiektywne, to jest słuszne.

Dam na ten przykład konkretny przykład. Przysłali mi z banku tekst, a w tekście był debat. Ale ja wcześniej znałem ten tekst, bo mam swój pin i wtedy jeszcze tego debata w nim nie było – i taki był w tym tekście

mój z bankiem wspólny Sens, czyli konsens, jak się Pan wyraża. Bo ja, proszę łaskawego Pana, odnoszę pin do moich celów i to nie jest żadna interpretacja czy nadinterpretacja tego debata, ale jego „użycie”, jak Pan słusznie napomina w swojej instrukcji.

I znów, proszę Pana, to jest „niesłuchanie ważne” (nr 6, s. 18), bo kto ma pin, ten musi mieć ten „wewnętrzny realizm”. Więc zgadzam się z Panem, gdy Pan odważnie stawia sprawę jasno: „Dlaczego to niby moja decyzja o innym odczytaniu jakiegoś tekstu, innym niż dokonany przeze mnie ongiś, ma pozbawiać moją praktykę interpretacyjną racji bytu, czynić ją dziwaczną, bezzasadną i bezskuteczną?” (nr 6 s. 31). Oczywiście, ja się z Panem zgadzam, że jak ktoś używa pinu, to bank nie może mu na to, że jego używanie jest bezzasadne! To nie tak! Bank też musi mieć „poszanowanie dla odmienności i szacunek dla pluralizmu oraz poczucie odpowiedzialności” (nr 6, s. 33), a tymczasem jakże często człowiek swoje, a bank swoje. A co, za przeproszeniem, proszę Pana, bankowi do Mojego?! Bo przecież jak bank sobie „piknikuje”, to człowiek przychodzi bez sensu i jedynie „przynosi słowa” (nr 6, s. 7) – których nie powtórzę – i swojego tekstu z pinem bankowym, niestety, nie używa. To nie ma sensu, proszę Pana, bo bank jest od tego, żeby działał z sensem, to jest „niepoczytalne” i o tym można sobie w każdej gazecie poczytać, i to jest bezużyteczne, bo pin jest od tego, żeby go używać. „Choć – jak trafnie Pan zauważył – zachowanie jakiegoś minimum spójności własnych działań jest zapewne warunkiem zachowania poczytalności, to jednak w perspektywie całego życia spójność owa dotyczy raczej jego fragmentów, nie zaś całości (choć oczywiście różnie bywa)” (nr 6, s. 32).

No właśnie, „różnie bywa”!

Bo weźmy to od takiej strony: obiektywnie rzecz biorąc, kiedyś nie było pinu, i wszystkiego subiektywnie było minimum, a teraz obiektywnie jest pin, ale mamy za to subiektywnie maximum – np. we wspólnocie PKO BP jest 900 zł na tydzień, ale ja znam takie wspólnoty pinowe, gdzie jest nawet kilkaset zł tekstu z ludzką twarzą na dzień – na przykład we wspólnocie S.A. No to wtedy można sobie poużywać, to znaczy pointerpretować. „Pamiętać wszak musimy, że nie tylko my sami możemy się zmieniać, lecz zmieniać możemy także owe wspólnoty” (nr 4, s. 79), bo przecież one są – aż chce mi się za Panem przetoczyć – „plastyczne”.

No i o to chodzi, Panie Redaktorze!

To jest wolność, to jest liberalizm, to mi się w Pana instrukcji podoba! Ale choć w nowej wspólnotcie „wolno znacznie więcej, to jednak nie wszystko wolno” (nr 4, s. 24). I w tych granicach każdy może być i anarchistą, i może też zachować poczytalność, ale nie w perspektywie całego życia, choć różnie bywa, bo przecież „nie możemy do końca stać się samoprzejrzysti dla siebie”, jak to Pan słusznie przetoczył (nr 4, s. 82).

Teraz o „ważniejszej sprawie, nad którą przyjdzie się zatrzymać” (nr 4, s. 79). Zgadzam się z Panem całkowicie, że o „atrakcyjności Pańskiego podejścia” świadczą „pojęcia i kategorie”, jakie Pan zaproponował (nr 4, s. 85) i dlatego ja, podobnie jak Pan, „nie chcąc nadużywać wielkiej gościnności «Tekstów Drugich»”, postaram się teraz „spowodować, iż niektóre z moich odpowiedzi wydadzą się zbyt zdawkowe” (nr 4, s. 75). Pisze Pan, że wszystkie interpretacje są jednostronne (nr 6, s. 15). To się zdarza, nie powiem, ale, Panie Redaktorze, żeby aż tak? Ja na ten przykład interpretuję wszystkie strony, które są gdziekolwiek zapisane, a z drugiej strony, gdy w banku interpretują mój dowód osobisty, to co najmniej dwustronnie i to jak „żarliwie” (nr 4, s. 82)!

Przy okazji, dziękuję za słuszne przypomnienie interpretacji adoptacyjnej (nr 6, s. 13; nr 4, s. 77). Jest w naszej wspólnotcie jedna para, która się adopcją interesuje, to przekażę.

Co do „naczyń włosowatych” (nr 6, s. 21), Panie Redaktorze, to proszę w korekcie instrukcji poprawić chyba na „naczynia włoskie” (też polecam!), bo jakaś wspólnota może sobie zinterpretować, że tu chodzi o Italian Fashion – skoro tu Panu chodzi o relację „o charakterze dominacji i panowania” na naszym rynku (nr 6, s. 21).

Na stronie 76 (nr 4), pisząc o „próbie komunikacji”, wymienia Pan powszechnie znaną i cenioną nazwę firmy Davidson. Jest to, proszę Pana, niesłychane, bezwzględnie skandaliczne uproszczenie, wręcz „haniebne w sensie etycznym” (nr 6, s. 24), choć „słowa, których użyłem, są mocne na pokaz” (nr 4, s. 84), ponieważ każdy członek naszej euro-amerykańskiej wspólnoty musi wiedzieć, że pełna nazwa, z jaką mają do czynienia użytkownicy, brzmi „Harley Davidson”.

Na następnej stronie zamieszcza Pan mistrzowskie uwagi na temat „majsterkowania” (nr 4, s. 77), o których „spieszę od razu za Panem donieść”, że z mojego subiektywnego punktu widzenia one bezwzględnie „są sformułowane w duchu współmyślenia” (nr 4, s. 78). A raczej

współmajsterkowania, co mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić jako członek wspólnoty użytkowników tekstów Adama Słodowego. *Nb.* ze zdumieniem stwierdzam brak jego nazwiska wśród cytowanych przez Pana specjalistów pragmatyków – zwłaszcza w przykładach dotyczących „kluczy” (nr 4, s. 86), „oświetlenia” (nr 4, s. 86), „reflektorów” (odp. 12), „fotografii” (odp. 13), „wbijania gwoździ” (nr 4, s. 83) – i innych manualnych użyc Pańskich interpretacji.

Teraz o robocie.

Bardzo mnie zainteresowało, co przeczytałem u Pana, że „demistyfikacja robota jest perwersyjnym wzmocnieniem wagi” (nr 6, s. 20). Ha!!! Otóż ja, proszę Pana, kiedyś skonstruowałem takiego robota, interpretując tekst instrukcji p. Słodowego, ale że ten robot z braku wyważenia pośrodku co krok się przewalał, to ja musiałem, z całym zewnętrzny realizmem, to i owo mu dokręcić, no i żona mnie od perwersji zwymyślała, i od tego czasu mnie demistyfikuje. I to jest najlepszy dowód na Pana wywód, że nie ma żadnego bezspornego kontekstu w tym tekście, proszę Pana, i że pojęcie obiektywności interpretacji zamienia się w „zwodnicze” (nr 6, s. 20).

Albo weźmy inny przykład na ten sam kontekst. Słusznie Pan pisze, że jak Pan zawodowo zajmuje się „filozofią, nie zaś historią literatury anglojęzycznej” (nr 4, s. 84), to każdy z nas należy „do innej wspólnoty interpretacyjnej”. To zupełnie tak jak u nas w domu: gdy moja małżonka zajmuje się zieleń angielskim, a ja angielską gorzką („*angielką z kropelkami!*”), to o żadnej wspólnej wspólnoty u nas nie może już być mowy. I gdy ja jej proponuję „swobodną i nieograniczoną debatę” (nr 4, s. 85) o debecie w tym temacie, „starając się natomiast samemu sobie zasugerować wyraźnie stronniczość mojego podejścia” (nr 4, s. 84), to ona nie zmienia swojej afiliacji interpretacyjnej i z konsensem w tym temacie u nas ani rusz. No, ale to już Pan trafnie wyjaśnił, pisząc słusznie, że „każdy jest uważny, ale nie każdy uważa na to samo” (nr 4, s. 84).

A ja, proszę Pana, natomiast uważam, że ja się z Panem tu nie zgadzam w kwestii „zapotrzebowań” danej wspólnoty (nr 6, s. 25). Wbrew temu, co Pan subiektywnie anarchizuje, Pańska teza jest obiektywnie fundamentalistyczna, a to jest głęboko nieetyczne. Pan bowiem niesłusznie stawia nietrafną tezę o bezpośrednim związku majsterkowania z „holizmem” (nr 4, s. 77).

Rozumiem, że wynika ona – jak Pan pisze – z Pańskich „przesądzeń, które wychodzą na jaw w pełni dopiero wtedy, gdy zostaną skonfrontowane z innymi przesądeniami”. Co prawda, nie zamierzam tego z góry przesądzać, choć jestem przesądny, ale to jeszcze niczego nie przesądza, jeżeli jednak tematem Pańskiej broszury jest – przypominam – „Jakaś Prawda, Rzeczywistość czy Obiektywność” (nr 6, s. 33), to nie można umieszczać pół-Prawdy w Pół-słowie. Taka jest bowiem, proszę łaskawego Pana, *prawda, nieprawda, i innej prawdy nie ma*.

Z mojego doświadczenia użytkownika pinu wynika bowiem, że kłopoty z jego życiem nie są wynikiem holizmu, lecz alkoholizmu. I tu nie ma co interpretować, bo tam jest już po użyciu, powiedziałbym nawet po nadużyciu, bo to przecież nie majsterkowanie prowadzi do holizmu, tylko alkoholizm prowadzi do nietrafnego majsterkowania (przy bankomacie). Po mojemu, to nie jest sprawa żadnej subiektywnej „Trzeciości” (nr 4, s. 83), lecz zwykłej obiektywnej Trzeźwości, no nie? Bo gdy na ten przykład użytkownik „o pinie” (nr 6, s. 5) nie pamięta, to przecież alkomat zawsze to bezwzględnie wykaże, wręcz wyświetli tę „ślepa plamkę naszego percypowania” (nr 4, s. 83), proszę Pana. I dlatego ja „żarliwie” (nr 4, s. 82) nie zgadzam się z Pana interpretacją, że „nie trzeba się aż tak mocno rozglądać”. Trzeba, proszę Pana, trzeba się rozglądać! Bo przecież bez rozglądania się – jak sam Pan słusznie pisze – można „patrzeć się na coś, co się określa” „moc wirtualna tekstu” i nie wiedzieć, „o czym mowa” (nr 4, s. 82). A przecież tylko mocno się w kulturze rozglądając, można zobaczyć, że dopiero „wirtualna moc tekstu” może nabrać jakiejś „mocy operacyjnej”. Ja to jeszcze Panu przybliżę. Jak pin jest w portfelu, to on jest wirtualny, ale jak się pin wkłada do dziury, to on nabiera operacyjnej mocy. Oczywiście, ma Pan trafną słuszność, że „kultura jest dynamiczna”. I genialnie Pan przetacza one „słowa przewodnie”: „w przyrodzie nie ma żadnej innej wierności naturze niż wierność kulturze” (nr 4, s. 83). Toteż i ja ufam, jak Pan, że trzeba należeć do kultury, żeby wykonać „dyspozycję” do dziury (nr 4, s. 82), ale też, zgadzam się, trzeba mieć dostępne moce. Dlatego Pana spostrzeżenie, mocno nowe, („nie ma niczego w tekście, czego by pierwszej nie było w kontekście”, nr 4, s. 82) przetaczam na pinowe: „pinem niczego nie wyciągacie, czego by pierwszej nie było w bankomacie”.

Tyle o pinie, choć wolałbym o Pninie, ale należymy jednak do różnych wspólnot interpretacyjnych, co Pan trafnie i bardzo perwersyjnie perswaduje.



W pierwszych słowach swojej instrukcji omawia Pan „walory etyczne” (nr 6, s. 27) i bardzo słusznie, bo pin umożliwia użytkownikowi dostęp do jego walorów. Zgadzam się też z Panem, że – jak Pan pisze – „wobec określonych celów określonych wspólnot” możliwe jest „zadowolenie się” (nr 6, s. 30) „tekstem z ludzką twarzą”. I obiektywnie bezwzględnie trafna jest Pana interpretacja o wyższości pluralizmu walorów nad walorem Jedynie Słusznej twarzy. Ale powinien Pan sprecyzować, że w tej naszej wspólnocie interpretacyjnej najwyżej ceniona jest jednak twarz – a raczej Twarz – Jerzego Waszyngtona.

I tu widać jak na dłoni ten „sławny problem”, który Pan „po mistrzowsku pociągnął nieco dalej” (nr 4, s. 76), że każda względność jest obiektywna. Jest to bezwzględnie „patent na rozwiązanie problemu obiektywności interpretacji” (nr 4, s. 78) i to ma Pan jak w banku.

Bo przecież tekst z twarzą Jerzego Waszyngtona jest względny i należy do lokalnej wspólnoty amerykańskiej, ale upowszechnił się, ponieważ, jak Pan słusznie interpretuje, honoruje on część z „obiektywnych, silnie skonwencjonalizowanych, lokalnych, historycznych i przygodnych pewników”. I ja się tu z Panem fundamentalnie zgadzam i też nie sądzę, żeby „sam tekst stawiał jakikolwiek opór” (nr 4, s. 87). Obiektywnie słusznie Pan anarchizuje, że „problem tkwi w nas, a nie w tekście” (nr 4, s. 87). I tu się, rzecz jasna, ta względność obiektywizuje. Bo Pan trafnie sądzi, ale niesłusznie, moim zdaniem, że „w konfrontacji z kulturami radykalnie odmiennymi oczywiste interpretacje wydają się całkowicie niezrozumiałe, absurdalne i wątpliwe” (nr 6, s. 17). No, proszę Pana! Toż to wystarczy się rozejrzeć! Czy jest gdzieś na świecie jakaś lokalna wspólnota, w której tekst z twarzą Jerzego Waszyngtona byłby niezrozumiały, absurdalny i wątpliwy? W którym tekście z tą Twarzą to byłyby teksty „drugiego rzędu” (nr 6, s. 19)? No nie, nie czarujmy się, proszę Pana, bo takich wspólnot nie ma, i taka jest Prawda, taka jest Rzeczywistość, taka jest – nie wstydzmy się tego powiedzieć – Obiektywność, proszę Pana.

Ja obiektywnie nie wiem, czy to jest „proces odczarowywania świata” (nr 6, s. 24), jak to Pan używa, bo ja się mogę wypowiadać tylko względem mojej lokalnej wspólnoty bankowej, ale ja bym tu słusznie we własnym imieniu podkreślił, że jak się liberalnie mówi w lokalu bankowym „interpretuj i daj interpretować” (nr 6, s. 27), to literalnie bez twarzy Jerzego Waszyngtona ani rusz. „I już”.

Pan się pyta skąd idee „do-konstrukcji” i „zawsze złego odczytania” (nr 6, s. 23)? To ja mogę tu tylko za Panem trafnie powtórzyć: można w interpretacji mówić, co się chce (choćby to było „złe odczytanie”), ale nie można mówić, czym się chce (bo zobowiązuje „do-konstrukcja”) (nr 6, s. 22), czyli trzeba mówić do rzeczy – nawet jak się mówi do siebie albo do innej wspólnoty interpretacyjnej. Pan pisze, że w tej sytuacji „walka, jaka się toczy także w Akademii, wiąże się z powstaniem radykalnie nowych interpretacji Tekstów, skierowanych przeciw interpretacjom już skonwencjonalizowanym” (nr 6, s. 21). Ja to sobie interpretuję, że skoro Pan wcześniej pisał o tekstach „drugiego rzędu”, to w pierwszym rzędzie musi tu chodzić o „Teksty Drugie”. No, to ja Panu życzę, Panie Redaktorze, odwagi i wytrwałości w tym używaniu, w tej interpretacji, w tej walce, która się toczy w Akademii, i jeszcze raz z całego serca dziękuję za opublikowanie tekstu instrukcji pełnej tak ożywczych, tak nowych, tak nie skonwencjonalizowanych i tak odkrywczych myśli, powiem nawet – tak po mistrzowsku sformułowanych i genialnie przetaczanych, że mogę jedynie powtórzyć za Szanownym Panem: „tu stoję i inaczej nie mogę” (nr 4, s. 80).

Na koniec chciałbym się przedstawić.

Jestem członkiem i „wiodącym przedstawicielem” lokalnej wspólnoty używającej tekstów do własnych celów. Działamy na rzecz obalania granic pomiędzy tekstem a interpretatorem. Nie uznajemy żadnej „obiektywności materii tekstu” (nr 4, s. 87) i żadnego „jakiegoś literalnego znaczenia” (nr 4, s. 86). W ramach „idiosynkretyzacji kultury współczesnej” podważamy przekonanie, że „ograniczenia na interpretacje nakładają jakieś cechy samego tekstu” (nr 6, s. 25). Nie dajemy spokoju tym, którzy nie chcą „dać sobie spokoju z doszukiwaniem się, czym jest tekst poza (przed) wszelkim jego użyciem” (nr 4, s. 88). Uważamy, że do interpretacji potrzeba kultury. „Spieszę jednak od razu donieść” (nr 4, s. 88), że piętnujemy wszystkie „gloryfikacje partykularne” (nr 6, s. 26), wszystkie roszczenia ponadlokalne i wszystkie interpretacje, których nie można uzyskać „w ramach określonych praktyk określonych wspólnot”. Ponieważ nasza wspólnota jest częścią wspólnoty kultury europejskiej, która jest „w stanie wewnętrznej przemiany” (nr 4, s. 82) i która jest „zróznicowana w wymiarze aksjologicznym” (nr 4, s. 79), sięgamy po jej „niestychanie płodne interpretacje powstania kategorii i praktyk typowych dla kultury europejskiej, takich jak prawda, «ja», naród” (nr 4, s. 87) czy honor, Bóg i ojczyzna. A robimy to też

dlatego, bo „czasami tylko poprzez interpretacje sięgające do całej epoki kulturowej można wyjaśnić uporczywie pojawiające się problemy” (nr 4, s. 87). Ostatnio używaliśmy ich sobie w związku z uporczywie pojawiającą się w naszej wspólnocie, że tak powiem, pewną *wyrwą z zamyśleń*, albowiem trzeba Panu wiedzieć, Panie Redaktorze, że nawet *Żaba ćwierka / Sama w rowie / Medytatorka / Zresztą Europejka*. Czyli należy do naszej wspólnoty!

Prowadzimy też szeroko zakrojoną akcję dostosowywania „prywatnych fantazji znaczeniowótórczych” (nr 6, s. 22) do wymagań lokalnych wspólnot interpretacyjnych oraz przetwarzania – oczywiście nieodpłatnie – „niezrozumiałych bełkotów” na „interkomunikowalne komunikaty kulturowe” (nr 6, s. 22). Ale chociaż naszą dewizą jest: „interpretuj i daj interpretować innym” (lokalnym wspólnotom), to jednak nie gwarantujemy nikomu „bezgranicznej tolerancji”! (nr 6, s. 27; nr 4, s. 80). Ufamy, że w wyniku naszej działalności interpretacyjnej wyłonią się „jeszcze inne odrębne wspólnoty”, co doprowadzi do powstania „mutacji kulturowych” (nr 6, s. 23) oraz „nowych kultur” (nr 4, s. 77) zrozumiałych także dla „naszych gości z innej galaktyki”. „Jest rok 2500” (nr 4, s. 5).

Moje nazwisko jak stoi poniżej.

Włodzimierz Bolecki

## II

Czytelnik artykułów Andrzeja Szahaja – *Granice anarchizmu interpretacyjnego* oraz *Paninterpretacjonizm, czyli nie ma niczego w tekście, czego by pierwej nie było w kontekście (odpowieź krytykom)* („Teksty Drugie” 1997 nr 6; 1998 nr 4) – zauważy bez trudu, że podpisany moim nazwiskiem powyższy „list do Redaktora” jest ich dziwną (absurdalną i parodystyczną, choć także logiczną) lekturą. Gdyby Czytelnik ów – zainteresowany dyskusją nt. „paninterpretacji” – miał ochotę porównać fragmenty artykułów Szahaja z ich użyciami w moim tekście, znajdzie w tym „liście” dokładne odsyłacze do konkretnych sformułowań, a porównawszy oryginał (argumenty, tezy i styl) z jego zastosowaniem, łatwo rozszyfruje poetykę *Wyznani człon-*

*ka lokalnej wspólnoty interpretacyjnej.* Nie chcąc jednak nikogo zmuszać do ponownej lektury wspomnianych artykułów, zdecydowałem się jak najzwięźlejsz scharakteryzować intencje, które mną kierowały, gdy pisałem te *Wyznania*.

1. Początkowo zamierzałem napisać „normalną” polemikę z tezami artykułu Szahaja, utrzymaną w tonie równie poważnym jak wypowiedzi innych dyskutantów – została ona nawet zapowiedziana w „Tekstach Drugich” (1998 nr 1-2): pt. *O anachronizmie ponowoczesnych interpretatorów*. Przeczytawszy jednak doskonałe, precyzyjne repliki Henryka Markiewicza i Michała Pawła Markowskiego oraz odpowiedź, jakiej udzielił na nie Szahaj (oraz na argumenty innych polemistów, w tym przede wszystkim Ryszarda Nycza i Stefana Morawskiego), doszedłem do wniosku, że moją na serio napisaną polemikę spotkać musi los wypowiedzi moich poprzedników. Najbardziej dyskwalifikującą ocenę literaturoznawcy (wypowiedź Markowskiego) Szahaj przedstawiłby jako uznanie dla swoich wywodów (odpowiedź Szahaja: Markowski-polemista „uznaje atrakcyjność mojego podejścia, mówiąc, że jest ono nic nie warte”; nr 4, s. 85). Z kolei listy błędów autora, wynikających z nieznamomości teoretycznoliterackiej wiedzy o tekście (które w *Granicach anarchizmu interpretacyjnego* dostrzegł Markiewicz) Szahaj nie przyjąłby do wiadomości lub nie odpowiedziałby na zasadnicze kontrargumenty polemisty (*vide* odpowiedź Morawskiemu). Cóż było robić? Zamiast dodawać kolejne argumenty do polemik z Szahajem, skonstruowałem tekst będący polemiczną ilustracją jego literaturoznawczych „przesądzeń”.

Oto ich najbardziej zwięzłe przypomnienie.

Istota problemów interpretacji tekstów literackich sprowadza się, według Szahaja, do „dialektyki” obiektywizmu i subiektywizmu. Interpretacje pragnące uchodzić za „obiektywne” są faktycznie „subiektywne”, ponieważ zawsze należą do jakiejś ograniczonej wspólnoty interpretacyjnej. Z kolei „subiektywne” okazują się dialektycznie „obiektywne” w sensie „względny” i „lokalny”.

Nie istnieją żadne formalne wyznaczniki tekstu, od których zależy interpretacja. Natomiast interpretacja jest wyłącznie pochodną kontekstu kulturowego i społecznego, a w konsekwencji nie ma żadnych możliwości rozstrzygnięcia trafności czy poprawności interpretacji, czy choćby wskazania kryteriów jej falsyfikacji i weryfikacji.

Każda interpretacja jest zatem jedynie „użyciem” tekstu przez interpretatora zgodnie z celami, jakie sobie stawia on lub jego „wspólnota interpretacyjna”.

Te trzy „przesądzenia” – bogato ilustrowane cytatami z prac filozofów, socjologów i teoretyków kultury – stanowią w artykułach Szahaja uzasadnienie dla jego „paninterpretacyjnego pragmatyzmu”. Postanowiłem zatem oddać głos „pragmatyście”.

Jest nim autor mojego „listu” do Redaktora „Tekstów Drugich”. Nosi on co prawda moje nazwisko, ale dla czytelnika pisma, którego sam jestem współredaktorem, ta literacka mistyfikacja (narrator – autor) nie będzie zaskoczeniem. „Mój bohater” – tak będę nazywał nadawcę tego listu – podziela zatem wszystkie „przesądzenia” Szahaja-pragmatysty. A oto ich skutki.

2. Skoro tekst nie ma żadnych formalnych wyznaczników pozwalających weryfikować tezy interpretatorów i skoro interpretacja to jedynie pragmatyczne użycie tekstu do celów znanych użytkownikowi, mój bohater – zgodnie z celami znanymi tylko jemu i jego wspólnocie interpretacyjnej – zakłada, że:

Nazwisko każdego autora artykułu w „Tekstach Drugich” jest pseudonimem Redaktora pisma. (Być może mój bohater zapamiętał, że w stanie wojennym nazwiska w pismach były pseudonimami autorów albo może gdzieś przeczytał, że istnieją pisma wypełniane utworami jednego autora – każdy utwór publikowany jest pod innym pseudonimem. Ale może kierowały nim motywy, których nie znam).

Nazwiska autorów przywołanych w tekście Szahaja kojarzą się mojemu bohaterowi z nazwami potocznymi. (Mój bohater nie odróżnia np. nazwiska filozofa od nazwy firmy motocyklowej, bo... nie musi – należy do „innej wspólnoty” interpretacyjnej niż Szahaj).

Wszystkie cytaty w tekście Szahaja traktuje jako tezy własne autora artykułu. (Mój bohater widocznie sądzi, że to tylko kwestia innego zapisu – nie dostrzega różnicy pomiędzy *oratio recta* i *oratio obliqua*, a nie dostrzega, ponieważ jest przekonany, że w tekście nie ma żadnych elementów sterujących jego lekturą).

Dla mojego bohatera znaczenie poszczególnych słów (np. wyrażień, metafor, nazw czy tytułów) nie jest określone ani przez znaczenie językowe, ani przez kontekst zdaniowy i wewnątrztekstowy, lecz przez ich użycie przez odbiorcę – czyli przez niego samego. W ten sposób

mój bohater użył do własnych celów np. nazwę rubryki „Opinie”. A ponieważ – zgodnie z „przesądzeniami” Szahaja – nie istnieją żadne reguły falsyfikujące poprawność takich pragmatycznych „użyć” tekstu (i jego elementów), więc mój bohater dalej też sobie *używa*, *wszak żyje tylko raz...*

Tekst nie ma dla mojego bohatera ani składni, ani gramatyki, nie ma żadnych sygnałów delimitacji, spójności, presupozycji, implikatur, ram modalnych, metatekstów, wyznaczników pragmatyki wewnątrztekstowej oraz rodzaju i gatunku czy choćby elementarnej hierarchii ważności elementów. Nie mając tych wyznaczników formalnych „tekst” jest dla mojego bohatera-pragmatysty tylko pustą nazwą, etykietką, którą można nakleić na dowolny obiekt. Skoro dla Szahaja kwalifikacja książki telefonicznej jako poematu erotycznego to tylko kwestia interpretacji przez odpowiednią „lokalną wspólnotę interpretacyjną”, to dla mojego bohatera – zgodnie z interpretacją jego wspólnoty – artykuł Szahaja jest „instrukcją użycia pinu” lub „broszurą”; „tekst” w jego „interpretacji” okazuje się kartą bankomatową; z kolei tytułem artykułu staje się w jego użyciu przypadkowy fragment zdania z zakończenia (dlaczego nie?), a zamiast sześciu rozdziałów, na które Szahaj podzielił swój artykuł, mój bohater doliczył się szesnastu itd., itp.

Żadne sformułowanie w tekście Szahaja nie ma dla mojego bohatera sensu „tekstowego”, nie interesują go też znaczenia wypowiedzi, jakie nadał czy choćby chciał nadać im Autor (skoro dla pragmatysty nie istnieje ani intencja ani komunikacja!). Mój bohater może więc używać każde słowo i każdy fragment artykułu Szahaja tak, jak chce – bo tak to robią w jego wspólnocie interpretacyjnej...

Długo jeszcze mógłbym wyjaśniać zastosowane w „liście” chwytły na poziomie stylistyki, intertekstualności, leksyki, narracji, przytoczeń, *etc.*, ale chyba nie ma już potrzeby – nie wszystko też chciałbym dopowiadać do końca. Jako ilustracje konsekwencji teoretycznoliterackich „przesądzeń” Szahaja-pragmatysty te wyjaśnienia są chyba już wystarczająco oczywiste. W konstrukcji moich *Wyznań* literaturoznawca znajdzie katalog elementarnych zjawisk tekstowych, o których uczy się studentów na ćwiczeniach z poetyki.

Jedno jest pewne, ponieważ – jak wiemy od Szahaja-pragmatysty – w żadnym tekście nie ma żadnych wyznaczników sterujących odczytaniem, dla mojego bohatera nie ma ich zatem także w artykule Szahaja – czyli nie ma żadnych kryteriów, które pozwoliłyby zweryfikować

poprawność „interpretacji” („użyć tekstu”) artykułu Szahaja w „liście” mojego bohatera. *Tu l'as voulu George Dandin, tu l'as voulu.*

### III

Nie napisałbym jednak *Wyznań członka lokalnej wspólnoty interpretacyjnej*, gdybym chodziło mi jedynie o zabawę tekstem Andrzeja Szahaja – bądź co bądź w zamierzeniu Autora poważnym i pełnym erudycyjnych odsyłaczy artykułem naukowym, „powstałym w ramach badań sponsorowanych przez Research Support Scheme of the Open Society Institute” (nr 6, s. 5). Mój sprzeciw spowodowały nie tylko poszczególne teoretycznoliterackie „przesądzenia” Szahaja – których parodystyczną ilustracją są *Wyznania* – lecz całe teoretycznoliterackie instrumentarium, które Szahaj uważa za *w y s t a r c z a j ą c e* do rozważań nt. interpretacji. Ponieważ ten styl teoretyzowania nie jest tylko cechą artykułu pt. *Granice anarchizmu interpretacyjnego*, lecz ma wiele podobnych manifestacji w sformułowaniach innych autorów, dołączam tu jeszcze, w telegraficznym skrócie, kilka dalszych wyznań.

Szahaj – jako reprezentant tego stylu teoretyzowania – nigdzie nie precyzuje, co rozumie przez „tekst”, i posługuje się tą kategorią całkowicie bezrefleksyjnie. Co prawda refleksyjnie charakteryzuje interpretację („interpretacja rozumiana jako świadomy namysł i ocena”, nr 4, s. 86), ale – rzecz ciekawa u pragmatyka – apragmatycznie nie wyodrębnia interpretacji spośród różnych użyć tekstów, nie dostrzega różnic pomiędzy typami interpretacji (o co dobitnie upomniał się Markiewicz), nie rozróżnia ani semiotyki tekstów, ani ich rodzajów, gatunków czy ich typów, *etc.* Interpretacja dla niego to interpretacja, a tekst to tekst – jakie są, chyba *każdy widzi...*

To tak, jakby ktoś zaproponował dyskusję nt. malowania, nie precyzując, czy chodzi mu o malowanie pasów na jezdni, czy o malowanie paznokci, o malowanie ścian w mieszkaniu czy obrazów, o „malowane lale” czy o pola „malowane zbożem rozmaitem”, o „malowanie słowem” czy o „zamalowanie w papę”. Albo – dyskusję o leczeniu: bez uściślenia, czy chodzi o leczenie ciała, czy duszy, zębów, łupieżu, kręgosłupa, choroby wieńcowej czy schizofrenii. I oczywiście do wszystkich tych

czynności (malowania i leczenia) proponowałby ten sam zestaw narzędzi.

Skutkiem tej magmowatości terminów w użyciach Szahaja jest oczywiście brak określenia *p r z e d m i o t u* interpretacji, a skutkiem braku przedmiotu – wykluczenie *k o m p e t e n c j i* jako kryterium oceny konkretnej interpretacji (także przekładu). Jest to istota sporu Markiewicza, Nycza, Morawskiego i Markowskiego z Szahajem.

Podejrzewam, że pisząc o „tekście”, Szahaj myśli po prostu o tzw. „treści”, „myśli przewodniej”, „idei”, „problemie” wyrażonym w danej wypowiedzi, *etc.* Ale od „wspólnotowej interpretacji”, np. sformułowania „sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu”, do interpretacji *t e k s t u* „Żaba ćwierka / Sama w rowie / Medytatorka / Zresztą Europejka” droga dość daleka...

Zajmujące Szahajowi wiele stron rozważania o obiektywizmie i subiektywizmie interpretacji, o jej „literalności”, o „wspólnotach interpretacyjnych” (których „obiektywne” istnienie prostodusznie wyobraża sobie Szahaj) *etc.* są dla literaturoznawcy problemami i narzędziami całkowicie anachronicznymi (Markiewicz mówi bardziej elegancko – „staroświeckimi”). Cokolwiek mówić o ich tradycjach oraz o zakresie filozoficznych czy metodologicznych zastosowań, w teoretycznym opakowaniu Szahaja są one kompletnie bezużyteczne wobec zadań, przed którymi staje krytyk, historyk czy teoretyk literatury (sztuki). Używanie takich narzędzi interpretacji tekstu, które odkrywa dziś Szahaj, skazałyby interpretatora na nawlekanie igły nitką w rękawicach bokserskich i w ciemnościach.

Rzecz jednak w tym, że problemy interpretacji i tekstologii, które Szahaj tłumaczy literaturoznawcom, są przez nich od dziesięcioleci omawiane nawet, by tak rzec, do znudzenia. Społeczne konteksty interpretacji, problemy socjologii odbioru, relacyjność i relatywność jej narzędzi, konwencyjność i konwencjonalność przedstawień rzeczywistości *etc.*, nie są od dziesięcioleci problemami do odkrywania, lecz tezami, które każdy literaturoznawca, filolog czy po prostu humanista zalicza do elementarnej wiedzy w swojej dyscyplinie. Kwestie, które porusza Szahaj, należą oczywiście do historii refleksji nad interpretacją, ale narzędzia interpretacyjne odpowiednie do problematyzacji różnych semiotyk, rodzajów i gatunków tekstów oraz sytuacji komunikacyjnych znajdują się bardzo daleko poza... *Granicami anarchizmu interpretacyjnego.*



Jak mawiał Roman Zimand, „nie bardzo rozumiem, po co mamy jeść tę zabę” (oczywiście „Europejkę, która sama ćwierka w rowie”).

\* \* \*

Pisze Szahaj: „Wszystko, co próbowałem (za Fishem i Rortym) ukazać w swoim tekście, to to, że nie da się przeprowadzić żadnej nieprzekraczalnej granicy pomiędzy tym, co miałyby pochodzić od tekstu, a tym, co miałyby pochodzić od interpretatora, a w związku z tym lepiej dać sobie spokój z doszukiwaniem się tego, czym jest tekst poza (przed) wszelką interpretacją” (nr 4, s. 88). Otóż nie daje mi spokoju myśl, że – podobnie jak niektórzy polemicy Szahaja – dostrzegam dość zasadnicze różnice pomiędzy jego interpretacjami a np. tekstami Fisha, Rorty’ego, Eco i innych uczonych. Istnieje też podobno uzasadnione podejrzenie, że w *Wyznaniach członka lokalnej wspólnoty interpretacyjnej* można się doszukać zasadniczych różnic pomiędzy tym, co „miałyby pochodzić od tekstu [Andrzeja Szahaja] a tym, co miałyby pochodzić od interpretatora”. Gdyby jednak ktoś twierdził, że jest zupełnie inaczej, to trudno, tym razem nie będę oponował...

Chyląc czoła przed filozoficznymi i socjologicznymi dociekaniem Szahaja-pragmatysty na temat interpretacji tekstu, cokolwiek jeszcze bym powiedział o ich potencjalnych literaturoznawczych (tekstowych) użyciach, nie mógłbym powiedzieć, że są one użyteczne. Co już wcześniej powiedziałem, inaczej mówiąc.

*Włodzimierz Bolecki*